

Paryż ma nową sensację!

20 dniowe małżeństwo miss Rosji

Piękna Rosjanka, Ariane Guédénoff, wnuczka dyrektora cesarskich teatrów w Moskwie, która w 1936 roku została wybrana miss Rosji w Paryżu, po raz drugi wzbudza ogólne zainteresowanie. Tym razem jednak z zupełnie innego powodu.

Oto piękna Ariane wyszła za mąż za p. Pierre Pathé, studenta, syna znanego francuskiego przemysłowca filmowego. Pożycie młodej artystki (p. Ariane jest malarką) z mężem, możnaby nazwać bardzo szczęśliwym, gdyby nie trwało ono tak krótko — tylko trzy tygodnie. Nieszczęście jednak chciało, że młody małżonek wyszedł po papierosy i... nie wrócił więcej.

A było to tak:

25 listopada ubiegłego roku państwo Pathé wydawali przyjęcie w swoich pięknych apartamentach w Passy. W pewnej chwili p. Pathé szepnął żonie, że zostawi ją na chwilę samą z gośćmi, a sam idzie do siebie po pa-

pierosy, których zabrakło. To były ostatnie słowa, jakie była miss Rosja usłyszała od swego męża.



Nie pomógł żadne poszukiwania, znikł, przepadł. Przyszła wprawdzie karta z Monte Carlo, na któ-

rej napisano: „Nie wróć więcej”, ale natychmiastowe poszukiwania na Jasnym Brzegu, a potem w Szwajcarii i we wszystkich boi-
teach Paryża nie dały rezultatu, zbiega nie udało się odnaleźć.

Obecnie małżonka zrezygnowała z poszukiwań, wniosła jednak do sądu skargę o przyznanie jej alimentów w sumie 1500 franków miesięcznie.

Przeprowadzenie tego procesu przyczyni się niewątpliwie do wyjaśnienia, czy w grę wchodzi w tym wypadku tylko niezwykła lekomyślność małżonka, czy też inne poważniejsze przyczyny. Sprawa budzi w Paryżu powszechną sensację, a komentowana jest szczególnie żywo w paryskich kołach artystycznych. Przypomina się przytem, że p. Pierre Pathé był już raz żonaty z jedną z gwiazd filmowych, przyczem małżeństwo skończyło się również w dość krótkim czasie rozwodem.

Służba na koniach i tancerki w pasztecie

Jak jadano w średniowieczu

Uczty dawnych czasów podobnie, jak dzisiejsze bankiety czy śniadania, miały swoje wielkie, pełne wyrazu znaczenie, sięgające o wiele dalej, niż zwykła konieczność napalenia żołądka. Podobno zadowolenie podniebienia usposabia łagodnie i po-
jednawczo, a dobre trunki rozwiązują języki, nie więc dziwnego, że tyle układów i porozumień międzynarodowych przygotowano na dyploma-
tycznych śniadaniach, a i na wsi każda poważniejsza transakcja handlo-
wa odbywa się przy kufelku piwa, czy czystej z kropelkami. Znaczenie i wymowę potraw oraz sposobu ich podawania doceniano w jeszcze więk-
szym stopniu w dawnych czasach. Znana jest powszechnie symbolika czarnej polewki. Niewiele zato wie, co znaczyło na biesiadzie przeciętne obrusa na stole przed rycerzem — było to posadzenie o zdradę, naj-
wyższą, krwią tylko mogącą być zamazana, obelga.

Ale nie mówmy tylko o symbolach i dyplomacji. Czyż nawet w sz-

rym życiu codziennym nie jest także ważne, co i jak nam podają?

ŚWIT SZTUKI KULINARNEJ

Mimo, że jadano zapewne nieźle już w najdawniejszych czasach, roku narodzin właściwej sztuki kulinarnej szukać należy dopiero w XIV w. Wczesne średniowiecze nie sprzyjało smakoszom.

Wbrew przepisom dzisiejszej higieny, dbającej o zachowanie linii, jadano zupy i to nawet dużo. Były to opiewki z prosa i pszenicy, zupy musztardowe i z siemienia konopnego. Słynna była zupa złota Karola VII króla Francji, na którą składali się grzanki, maczane w cukrze, winie, wodzie różanej, żółtkach i posypane szafranem. Zupa mogła się stać także środkiem okazywania swoistego charakteru pobożności — Dugesclin jadł zawsze przed bitwą trzy polewki winne na cześć Trójcy Przenajświętszej.

Z mięsowa smakosze wyróżniali czaple, łabędzie, jeża, niedźwiedzia i żórawia. Przyrządzano salatkę ze ślazu i chmielu. Jako przyprawy służyły: mięta, szalwia, koper, anyż, fiolek, róża, rozmaryn. Posiłki skrapiano obficie winem, hyporasem czyli wywarem z migdałów i cynamonu z dodatkiem wina słodzonego, oranżadą, i t. zw. „wodą złotą” — napojem alkoholowym, w którym pływały listki złota, mającego jakoby zdolność przedłużania życia.

Na deser po usunięciu serwety, podawano cukierki i konfitury. Owoc surowe wprowadził na stół dopiero postępowy wiek XVI.

NIE WYCIERAĆ NOSA W OBRUS

Serwety i obrusy były jedną z oznak rozwijającego się coraz bardziej pod koniec średniowiecza zamożności do zbytku. Sporządzano je z sukna nierzadko przetykanego złotem, pluszu lub aksamitu. Nierzadko większym luksusem było używanie widelcy. W roku 1297 król angielski szczył się posiadaniem jednego tego rodzaju przedmiotu. Wielkim wykwinieniem musiał być francuski Karol VII, skoro posiadał ich aż dziesięć sztuk, używano je jednak wyłącznie do jednej potrawy sera smażonego w cukrze.

Na co zresztą potrzebne były wtedy widelce, kiedy zupełnie wystarczyły łazienki, a przy spożywaniu mięsa najwygodniej posługiwać się palcami i, w razie potrzeby, nożem. Być może, że trudno nam so-

bie wyobrazić potężnych wielmożów w barwnych, przepięknych strojach, lśniących od złota i klejnotów, siedzących przy biesiadzie z wielką ilością w okupujących od tłuszczu rękach. Wniknijmy jednak we właściwy sens pozostałych z tego okresu przepisów dobrego tonu. Oto regulamin zachowania się przy stole na dworze cesarza austriackiego z czasów znacznie już późniejszych, początków XVII w., zabrania, między innymi, brania rękami mięsa z półmiska i... wycierania nosa w obrus. Ówczesny dwór cesarski był bezwzględnie najświetniejszy i służył za ogłody na całą Europę — co się działo wobec tego na innych dworach?

PAWIE I WIELORYBY

Jeśli nie pod względem higieny, to w każdym razie swą świetnością i przepychem nie ustępowały wiele uczyt ówczesne nawet starożytnym. W jadłospisach wszędzie królowały, oczywiście pawie, uważane powszechnie za mięso odpowiednie dla podniebienia walecznych, podniebienia rycerzy. Chlubą królewskich i książęcych kuchni były olbrzymie paszteciki, z których po rozcięciu wylatywały żywe ptaki, wychodziły dzikawce postrojone dzieci, nawet piękne tancerki. Często potrawy były wnoszone i roznoszone pośród biesiadników przez konnych służących, a sala i stół zasypywane świeżymi kwiatami.

Nie braku przy tego rodzaju uroczystościach i wrażeń artystycznych. Pomiędzy jednym a drugim daniem zabawiano się słuchaniem muzyki, śpiewu, recytacją poezji, czy też przyglądano się pantonimom. Sztuce kulinarnej podlegały ręce piękne muzy Apollina.

Wszystko to było jedną stroną obrazu — świetność i blask przepychu. Obok tego światła kryły się i cienie. W ciemnych niskich chłop-
skich chatkach jadano oczywiście co innego — rzadko kiedy mięso, przeważnie jarzyny, własnej uprawy, a nad brzegiem morza śledzie lub też solone mięso wielorybie. Ludy szczęśliwe nie mają swej historii, tak samo i posilki ludzi ubogich i nieszczęśliwych. Niewiele da się powiedzieć o ich rozmaitości i rozwoju historycznym. Ale iluż naszych chłopów odżywia się dzisiaj niewiele obficie i intensywniej od swych średniowiecznych przodków.

An-ka

GRAMY TYLKO

W kolekturach chrześcijańskich:

Z. CHLEBIŃSKA, „Pod Białym Słońcem”. Bracka 9.
J. CHLEWICKA — Mazowiecka 14.
DZIERŻANOWSKI J. N. Świat 64 — Freta 5 — Gniezno — Chrobrego 2.
B. O. KAMIŃSKI — N. Świat 55.
ST. KWARTO — Marszałkowska 149 m. 11 i-sze n.
LANGER JULIAN Marszałkowska 121. Dworzec Główny i Średnicowy, Wolska 13, Targowa 46, Poznań Mielżyńskiego 21. Konto PRO 1667.
W. MILENIEWSKA — Al. Jerozolimskiej 36.
PIASTUSZKIEWICZ M. — „Stój, tu los Twój”. Zgoda 8.
ANTONI SZYLER — Bracka 10.
WL. TARKOWSKI — Marszałkowska 68.
WOLANSKA A. — N. Świat 19.

Tajemnica sokołowego oka wyjaśniona

Mówimy o człowieku, posiadającym doskonały wzrok, że ma sokołe albo orle oko. Porównanie to jest trafne. Orły rzucają się najczęściej z wielkich wysokości na ziemię, by złowić mysz, którą z tysiąca metrów wysokości potrafi dojrzeć oko króla przestworzy. Podobną siłę wzroku spotykamy u sokołów, jastrzębi i innych drapieżników.

ZAGADKA BYSTRÓSCI WZROKU

Dzięki pracom jednego z ornitologów, udało się obecnie rozwiązać zagadkę bystrości wzroku u drapieżnych ptaków. Posiadają one inną budowę oka. Między soczewką i dnem oka mają ptaki drapieżne drobne mięsiste ciało

z zębatami brzegami. Dotychczas nie wiadomo, do czego ciało to służy. Ostatnio pewien ornitolog wpadł na pomysł nalepienia na matową płytę swego aparatu fotograficznego kawałka papieru z nacięciami zębatami, podobnymi do tych, które znajdują się w głębi oczu ptasich drapieżników. Przy pomocy tak spreparowanej płyty uczony mógł dostrzec jaskółki na bardzo znacznej wysokości, które normalnie nie były dla oka dostrzegalne. W ten sposób wyjaśniła się tajemnica „sokołowego czy orlego oka”.

TYLKO OBRAZ RUCHOMY

Nasuwa się teraz druga kwestia. Ruchomy organ, rzucający cień na siatkówkę, zastrzelał kontury odbijającego się na niej obrazu! Otóż weale nie chodzi tu o zaostrenie konturów obrazu. Orzeł

czy sokoł nie widzą myszy tak długo, jak długo siedzi ona spokojnie. Natomiast widzą ją dosko-
nale w ruchu. Oko ptaków drapieżnych chwytają tylko cele ruchu. Obraz ruchomy krzyżuje się z nacięciami cienistymi w oku ptaka i staje się przez to wyraźniejszy, podobnie jak wyrazistość dźwięku podkreślamy pauzą.

Z WYSOKOŚCI 1.077

Dla wyjaśnienia, z jakich odległości oko drapieżców chwytają obraby, przeprowadzono szereg niezwykle ciekawych doświadczeń z sokołem. Nad skoszonym łanem zboża wypuszczono sokoła, który wzbił się na wysokość 1.077 metrów. W pewnej chwili ptak runął nagle na ziemię. Okazało się, że dostrzegł wróbla, zbierającego się kruszone ziarno. Dla umysłowie-
nia sobie bystrości wzroku drapieżcy, wystarczy stwierdzić, że z chwilą wypuszczenia ptaka skoszone pole było pod baczna obserwacją ludzi, uzbrojonych w dosko-
nałe polowe lornetki. Pomimo tego nie dostrzegli oni wróbla, którego dostrzegł, a raczej zauważył jego ruch sokół, szybujący na wysokości 1.077 metrów. W innych wypadkach sokół dostrzegł z wysokości 1.661 metrów białą chustkę, ale dopiero wówczas, gdy nią poruszono.

„Księżna Fedora”

Uroczyste melodie Kalmana, nieco egzotyczne tło życia dworskiego i cyrkowego, sentyment i humor, żywiołowe tańce — oto całokształt efektownej operetki „Księżna Fedora”, która wezła na afisz teatru „8.15”. Śpiew i grę Makowskiej i Syma oraz innych fenomenalne popisy taneczne Bożeny Alessi publiczność przyjmuje entuzjastycznie.

GOLD CREM HAMAMELIS LOTION HAMAMELIS

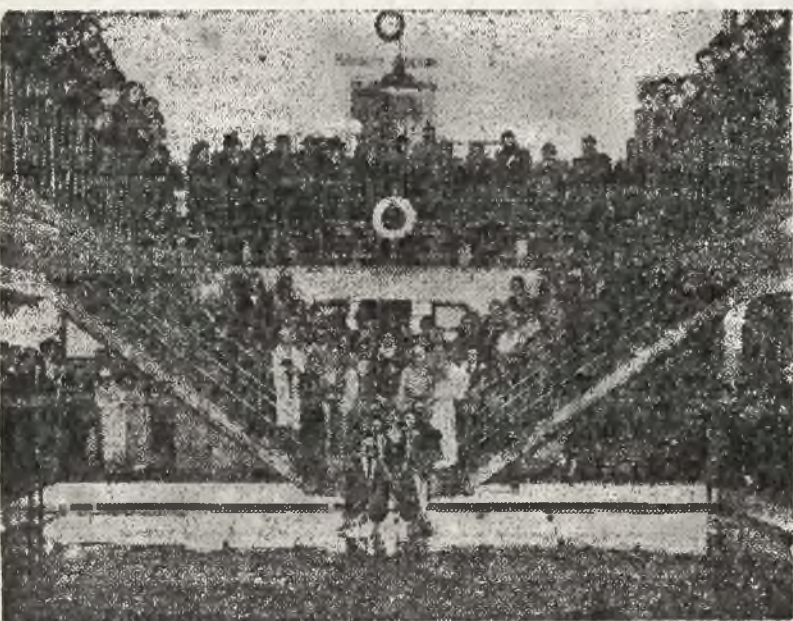
oraz MYDŁO HAMAMELIS

mają działanie toniczne, usuwają zmarszczki, wygładzają skórę
Lab. Chem. Farm.
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Chmielna 4

Do nabycia we wszystkich, pierwszorzędnych firmach



Z sportu



Fragment z zimowych zawodów pływackich o mistrzostwo Śląska w Siemianowicach

JACEK BRZEZINA

9)

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

— Żałujesz mi?
— A żebys się udlawił — warknął Gordon, wtulając się głęboko w swoje boleści i zakrywając prześcieradłem aż po wielki, zadarty nieco nos.
— Po coś mnie wezwał? — spytał Stanley, spoglądając krytycznym wzrokiem na chorego. Gordon niewiele się zmienił. Pozostał taki sam suchy, żyłasty, o zabórczym wyrazie twarzy i dziwnym, bezbarwnym, prawie rybim spojrzeniu. Taki sam, jakim go widział po raz ostatni, gdy zęgnali się w Gore. Canning tak samo krzywił wąskie usta, gdy wten-
czas mówił na pożegnanie:
— No, stary, przewietrzysz się teraz w Indiach, odpoczniesz. Pamiętaj, że jakbyś tam szlag trafił lub jakaś błogosławiona gadzina ugryzła, nie będę płakał po tobie. Do zobaczenia!
Był taki sam. Bezwzględny, kłótlivy, nie znający co to dobre słowo, dziwnie pozbawiony wszelkich cech moralnych. Internacjonal, bezbożnik... Chociaż czasem Stanley sam nie wiedział, czy tak w rzeczywistości jest, czy może Gordon udaje? Dziwny to był człowiek, po którym wszystkiego można się było spodziewać.
— Po com cię wezwał? — mruknął Gordon kłapiąc w gorące zęby. — Chciałem się ciebie zapytać, czyś już zapomniał rasa Emitu?
— Tego, co swoim wrogom zaszywał w żołądki żywe ko-
ty? Nie! O takich pamięta się przez całe życie.
— No, to świetnie. — Długa, centkowna piegami wzdłuż

nosa i oczu twarz Gordona skrzywiła się, co miało oznaczać błogi uśmiech. Poglądził ręką sterczącą na głowie ryżą szczecinę i wysunął w zadumie dolną wargę.
— Mam dla ciebie coś podobnego!
— Ciekawe! — Stanley zainteresował się.
— Jak dla kogo. Dla mnie raczej idiotyczne. Osiem dni temu dostałem wiadomość od przebywającego w Kuweicie Montagne, że Kurbasowa znaleziono na pustyni z wypcha-
nym kamieniami i piaskiem żołądkiem.
— To bardziej humanitarne, niż koty rasa Emitu! — zauważył poważnie Stanley.
— Niekoniecznie! Z tym też żyje się parę godzin. Nie o to jednak chodzi. Człowieka szkoda, lecz można go zastąpić innym. Rzecz w tym, że Kurbasowa prowadził transport!
— O, yes! — Stanley kiwnął ze zrozumieniem głową. — Transport przepadł!
— Tak. Śladu po nim nie znaleziono, prócz nadgryzionego już przez szakale Kurbasowa.
— To cię przyprowadzi o ten miły atak?
Gordon zgrzytnął zębami, potakując.
— Słabe masz nerwy, Canning. Trzeba się leczyć. Ale jeżeli o to wszystko chodzi, to nie rozumiem jeszcze, po coś mnie tu wyzwał. Czyż mam szukać zaginionego transportu? Od czegoż jednak jest Montagne? Siedzi w Kuweicie, niech się tym sam zajmie.
— Siedział! Cztery dni temu dostałem znów wiadomość, że znaleziono go w mieszkaniu z nożem w plecach! Stanley gwizdnął.
— To już zakrawa na poważniejszą robotę.
— No, widzisz! I dziwisz się, że cię tu wezwałem. I jeszcze na dobitkę spóźniasz się o pięć dni, nabawiając mnie przez to nowych dreszczów i ataków.
— Nie wątpię, że nie płakałbyś po mnie.
— Nie po tobie, lecz o transporcie, który ma przyjąć za trzy dni na umówione miejsce.
— I który wobec twojej choroby i mojego nieprzybycia nie zostałby odebrany lub też odebrałyby go inne ręce?
— Czytasz, jak z nut. Nie wiedziałem, że pozostało ci je-

szcze tyle rozumu w głowie — mruknął sarkastycznie Gordon.

— Nie zlec z fotela, jeżeli ci powiem, że mam więcej rozumu, niż ci się wydaje. Wiesz, kto jechał ze mną z Bombaju do Karaczi?

— Duchem świętym przecież nie jestem!
— Nie wątpię, lecz mógłbyś posiadać trochę inteligencji i domyśleć się. Sąsiadem moim w samolocie był Otto Kipperburger!

Huk strzałów rewolwerowych nie wywołałby większego wrażenia na Gordonie, niż to nazwisko. Poderwał się z fotela, bulgocąc coś przez zaciśnięte zęby.
Stanley łagodnym ruchem położył go z powrotem i dodał jeszcze jedną pigułkę:

— Wiesz, od kogo przed wyjazdem z Bombaju dostałem depeszę? Od Flo! Radziła mi nie jechać!

Gordon leżał, jaź nieżywy, tylko biała piana ukazywała mu się na wąskich, spalonych gorączką ustach. Dopiero dobra porcja chininy i szampana doprowadziła go nieco do przytomności.

— Teraz już zaczynam rozumieć twój wypadek samolotowy.

— No, widzisz! — zaśmiał się Stanley. — Zmajstrowali coś przy motorze, prosząc Boga, by mnie pochłonęły stony wody Zatoki.

Gordon drapał się w zamyśleniu w podbródek.
— Więc to oni! Było do przewidzenia, że nam wejda w parade, lecz nie przypuszczałem, że tak prędko. No, Stanley — uśmiechnął się, krzywiąc pocieszenie twarz, — będziemy mieli ładną zabawę!

— My, jak my — odburknął Stanley, wypijając duszkiem kieliszek szampana, — ale ja. to na pewno. Ty z doktorem musisz mieć do czynienia.

— A żeby tę malarę... — zaklął Gordon, zaciskając bezsilnie dłonie.

— Nie jej nie poradzisz. Chwilowo ja muszę myśleć o wszystkim. opowiedz mi więc zaraz, jak sprawa się przedstawia. Szkoda tracić czasu na próżne gadanie! (D. c. n.).